

Czwarty tom bestsellerowej serii
mafijnej z zadziornymi górkami!

Góralka i mafioso #4

CZARNA jaskółka

LILIANA WIĘCEK



Copyright © 2023
Liliana Więcek
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Katarzyna Chybińska

Karolina Piekarska

Maria Klimek

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Projekt ilustracji:

Marta Michniewicz

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-736-0

LILIANA WIĘCEK

CZARNA JASKÓŁKA

GÓRALKA I MAFIOSO #4

OŚWIĘCIM 2023

Drodzy czytelnicy,
Czarna jaskółka jest czwartą częścią serii „Góralki i mafioso”.
Stanowi odrębną opowieść, opisuje losy nowych bohaterów,
których poznaliście w poprzednich tomach, a zdarzenia
fabularne w pewien sposób są ze sobą połączone. Dla pełnego
zrozumienia motywów i postaci najlepiej zacząć lekturę od
Czarne i białe, *Czarne i czerwone* oraz *Czarne i czarne*.

Życzę piekielnie dobrej zabawy!

Miłość i nienawiść dają światło w jednej lampie

Prolog

Monika

18 miesięcy wcześniej

Przykucnęłam nad wykopem, na którego dnie spoczęło ciało Stefana – mojego drugiego męża. Nie przeżywałam straty, nie odczuwałam smutku ani żalu. Nie miałam też wyrzutów sumienia. Nie czułam nic więcej prócz zubożenia. Nie wszyscy mieli w życiu tyle szczęścia, co ja. Nie ze wszystkich miała kaprys zaszydzić sama śmierć.

Niech ci ziemia lekką będzie... Zebrani na cmentarzu przyglądali się jak rozkładam dłoń i wypuszczam z niej symboliczną grudkę ziemi, która z głuchym echem odbiła się od wieka trumny. Ten akcent był dla mnie najważniejszym punktem pogrzebu, wymuszał ostatni gest definitywnie rozdzielający żywego i martwego.

Pogrzeb męża dobiegł końca. Ceremonia ściągnęła na cmentarz głównie jego znajomych, czyli elementy, którym zafundował niejedną imprezową noc w swoim towarzystwie. Pojawił się nawet przedstawiciel organów ścigania w osobie samego komendanta tatrzańskiej policji, który z praworządnością miał tyle wspólnego, co zakopiański proboszcz z prawosławiem.

Kiedy trzy lata temu Stefan pojawił się jako gość w moim hotelu, już na pierwszy rzut oka było widać, że typ był szemrany, co więcej, pochodził ze Słowacji, dlatego też od razu zaczęłam działać. Znalazłam się bardzo blisko możliwości, by zdobyć jakieś informacje. Okręcenie go sobie wokół palca i doprowadzenie pod ołtarz, podobnie jak z pierwszym mężem, okazało się bajecznie proste.

Pierwszego męża Jana już prawie nie wspominałam. Był starym, majątnym dziadem w góralskim kapeluszu, któremu młoda dupa zamąciła w głowie. Przecież musiałam od czegoś zacząć, a wiek Jana niósł za sobą ryzyko. Wedle moich prognoz po niespełna dwóch latach związku biedak zmarł, a kilka miesięcy później pojawił się następny pretendent, którego uwiodłam, zbałamuciłam i udając owdowiałą zakochaną idiotkę, doprowadziłam do dość szybkiego ślubu. Otworzyłam Stefanowi furtkę do prowadzenia erotycznych interesów w Polsce, więc z założenia korzyści były obopólne. Szybko przekonałam się jednak, że Stefan był nikim. Nie miał ani znajomości, ani zasięgów, ani chęci, by je mieć. Był nieskomplikowanym słowackim przestępcą, który dorobił się głównie na prostytutce, unikając przy tym konfliktów z innymi przestępcami. Jego pieniądze zaczęły spełniać moje materialne zachcianki. Nadzorowałam budowę domu, stadniny, sprawiłam sobie baczność i nawet stado owiec, a kolejne miesiące rozplywały się w przeszłości. Mój małżonek stał się tak zaangażowanym właścicielem burdelu, że przebywając w nim niemal non stop, tonął w szklance whisky i prochach. Związek z nim przestał być dla mnie perspektywą, tak jak przestał mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Nasze małżeństwo trwało aż trzy lata, a ja nie mogłam zbyt długo tkwić w martwym punkcie.

Ostatnie dni jego życia postawiły mnie w stan gotowości i sprawiły, że w leśnej rezydencji z utęsknieniem wyczekiwałam powrotu męża, pocierając w palcach złoty amulet. Stefan również miał swój amulet. Był to mały, złoty rewolwer, który zawsze nosił ze sobą, a który dostarczał temu dojrzałemu chłopcu mnóstwa frajdy. Szczególnie wtedy, kiedy śmiejąc się, wkładał go sobie do ust, naciskał spust, po czym śmiał się jak idiota, że jednak przeżył strzał z niezaladowanej broni. Kilka dni temu wsparta tyłem o blat wyspy, w czarnym szlafroku i lampką czerwonego wina w dłoni, przyglądałam się, jak pracownicy sadzają mojego naćpanego męża na kanapie w salonie. Śmierdzący, brudny, zarosnięty,

z błędnym spojrzeniem i przygłupim uśmiechem wydawał z siebie różne dźwięki, od śmiechu aż po krzyk. Alkohol i narkotyki zrobiły mu z mózgu papkę. Pomogłam mu zdjąć marynarkę, buty i ostatni raz wcisnęłam mu w dłoń złotą zabawkę...

Wychodząc bramą nekropolii, zostawiłam za sobą jeden i wkraczałam w kolejny etap życia. Rozwiązałam swoje dłonie w związku z czym, wypełnił mnie spokój. Jakbym dostała do ręki czystą niezapisaną kartkę. Nawet nie zdążyłam się nacieszyć tym stanem, bo gdy chwyciłam za klamkę samochodu, moja komórka zaczęła wibrować w kieszeni czarnego płaszcza. Spojrzałam na ekran telefonu i widząc przychodzące połączenie z hotelu, wrzuciłam urządzenie ponownie do kieszeni. Nie dałam mi spokoju, nawet w tak *smutnym* dla mnie dniu.

I tak planowałam jechać do Ganka, więc dziesięć minut później parkowałam pod swoim hotelem. Nie lubiłam tego miejsca, ale było ono spadkiem po pierwszym mężu, zagwarantowało mi dobry start i nadal przynosiło niezłe zyski.

Przekroczyłam próg budynku i kątem oka od razu dostrzegłam trzech mężczyzn siedzących w przestrzeni wypoczynkowej dla oczekujących. Przeszłam na recepcję, gdzie Karolina w folkowym stroju pracowała jako recepcjonistka.

Jeden rzut oka i mogłam się domyślić, dlaczego ci mężczyźni czekali na mnie – mieli kłatkę. Przed dokonaniem rezerwacji nie potrafili przeczytać ze zrozumieniem, że na terenie tego obiektu nie dopuszcza się obecności zwierząt. To pierwsze, co zmieniłam po śmierci Jana w prowadzeniu tego miejsca.

– Przestałaś sobie radzić na swoim stanowisku? – zrugłam ją chłodnym tonem, przyglądając się, jak stuka w ekran dotykowy czerwonymi paznokciami i otwiera szczegóły rezerwacji, jak się okazało, Amerykanów. Zerknęłam pobieżnie.

– Pani Moniko... Ja im wszystko przekazałam, odmówiłam pobytu... – Wskazała dłonią w kierunku nowych gości. – Uparli się, żeby z panią porozmawiać, to znaczy jeden wyjątkowo.

Ja... ja się go przestraszyłam – jąkała się, tłumacząc zaistniałą sytuację.

Z trudem znosiłam nieudolność pracujących dla mnie osób, ale jeszcze bardziej nie podobało mi się roszczeniowe zachowanie przyjezdnych. Regulamin to regulamin. Był po to, żeby go bezwzględnie przestrzegać.

– Jak długo czekają? – Odwiesiłam płaszcz na wieszak.

– Ponad dwie godziny – odpowiedziała.

Odrzuciłam włosy na plecy i pewnym krokiem ruszyłam bezwzględnie w ich kierunku. Bez słowa powitania przystanęłam obok kanapy, na której siedziało dwóch mężczyzn. Fotel obok zajmował kolejny, czułam ich spojrzenia na sobie, lecz oczy zatrzymałam na klatce w której zamknięta była... małpa. *Tego jeszcze nie grali na żadnych skrzypcach.* Kiedy oderwałam zdziwione oczy od kojca podróżnego, ogarnęłam spojrzeniem niewzruszonych moim wymownym milczeniem przyjezdnych. Łysy, czarnoskóry i... z wyglądu całkiem przyzwoity czarnooki mężczyzna, który wstając z miejsca, nie miał zamiaru się przedstawić tylko wsunął dłonie do kieszeni eleganckich spodni.

– Mamy opłaconą rezerwację, mamy... PUPILA... i mamy nadzieję, że jednak przymknie pani na niego oko – przemówił pewnym siebie, lecz spokojnym tonem.

Milcząc, zatrzymałam spojrzenie na jego twarzy i niech mnie piekło pochłonie, jeśli moje przeczucie się myli i nie poczułam *tego czegoś*.

To były najmroczniejsze tęczęwki, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam.

– Nie przymknę – odparłam stonowanym tonem i walczyłam, ale ciężko mi było powstrzymać cień uśmiechu.

– Nie? – zapytał figlarnie, kącik jego ust drgnął do góry wraz z brwią.

Bardzo przystojny i typowy mężczyzna, który uważa, że wszystkie kobiety lecą na tak tanie triki. Nie... to jednak było wabiące w jego osobie. Musiałam dostać próbkę czegoś jeszcze.

– Nie – powtórzyłam bezbarwnym tonem, rozpoczynając swoją grę. – I nawet gdyby pozbył się pan tego zwierzęcia, to właśnie stracił pan swoją rezerwację i musi pan znaleźć sobie nowy nocleg – zaznaczyłam bezwzględnie, czekając na efekt prowokacji.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – warknął w taki sposób, że nadal chciałam więcej.

Miał potencjał.

– Nie przeszliśmy na ty. – Zrobiłam pewny krok w jego kierunku.

– To może warto? – Również wykonał krok w moją stronę, a korzenny zapach jego perfum ścisnął mnie za krtań i otumaniał zmysły.

– Nie sędzę – skomentowałam, dokładnie badając jego wygląd od twarzy w dół, co wywołało ironiczne parsknięcie mężczyzny.

– Ma pani wyjątkowe podejście do klienta... – Odniósł się do mojego zachowania, patrząc mi w oczy z odległości zaledwie dzielącego nas kroku.

To było niesamowite doznanie. Miałam przed sobą człowieka, którego samo spojrzenie gwarantowało problemy.

– Pani... – powtórzyłam ostatni zwrot. – Jednak możliwy jest dalszy dialog... – Zaplotłam ręce na piersi. – Pozwoli pan więc, że naznaczę panu powód swojej decyzji. Może jest pan kimś ważnym gdzieś tam... Tu jest pan moim gościem i na dzień dobry łamię pan zasady panujące w moim miejscu pracy, MOJE zasady – zaznaczyłam. – Nie będę panu tłumaczyła, dlaczego zwierzęta nie mogą przebywać w tym hotelu ani nie będę tłumaczyła, dlaczego pan i pańscy towarzysze również nie będą mogli się tu zatrzymać, bo nie mam na to ani nastoju, ani ochoty, ani czasu...

– Może powiesz, jak masz na imię? – Widać, że starał się panować nad sobą w taki sposób, w jaki robiłam to ja.

– Może Aneta. Może Patrycja. Może Edyta... A może chcąc wystawić niepochlebłą opinię, nie jest to PANU aż tak potrzebne?

– Przy tym ostatnim użyję... Suka.

– Śliczne... – pochwaliłam cynicznie. – A teraz proszę panów o dobrowolne opuszczenie tego miejsca... – Patrząc w oczy o nieodgadnionym wyrazie, z klasą uniosłam dłoń i wskazałam kierunek do drzwi. Pełna prezencja, pewny siebie, władczy, bezpośredni, coraz bardziej mi się podobał.

Mężczyźni zajmujący wypoczynek dźwignęli się ze swoich miejsc, a ja napawałam się falą wściekłości dryfującej w napiętych mięśniach żuchwy swojego rozmówcy i jego płonących oczach. Robiąc odważny krok ku mnie i znajdując się w krytycznie bliskiej odległości, przekroczył kolejną granicę, a rodzaj jego spojrzenia tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie.

– Może następnym razem... – mruknął złowieszczo, wycofując się z rozmowy.

Mam nadzieję.

– Może – przytaknęłam wewnętrznie ożywiona.

Dzisiejszy dzień stał się bardzo prawdopodobnym początkiem czyjegoś końca.

Rozdział 1

Monika

10 lat wcześniej

Miałam dość sobotniej nocy. Czternastą godzinę biegałam od kuchni do stolików, by zaspokoić apetyt i pragnienie kolejnych klientów karczmy, w której pracowałam jako kelnerka. W weekend zawsze było dużo pracy. Minęła północ, w łydkach czułam znajome mrowienie, a towarzyszący mi od pewnego czasu ból krzyża, zaczął przybierać na sile.

Już z górki, z jednej strony pocieszałam się w myślach, napełniając piwem kolejną tacę kufli, z drugiej strony się dobijałam. Z jakiego świerku się urwałam. W środku trwających wakacji, w centrum Zakopanego, w knajpie czynnej dwadzieścia cztery godziny na dobę, w weekend nie mogło być z górki.

Nigdy nie wiedziałam, po jakim czasie szefostwo pozwoli mi wyjść do domu. Mój rekord wypracowanych godzin to ciągiem dwadzieścia pięć i pół. Miałam nadzieję, że dziś nie padnie kolejny.

Pracowałam jak maszyna, nie zważając, że wewnątrz nadal nie było wolnego stolika, na domiar złego panował ogólny letni skwar. Powietrze zwiastowało nadchodzącą burzę i nie było czym oddychać. Kapela grająca na żywo narzucała rytm. Biała koszula z folkowym wzorem kleiła się do moich pleców, majtki do tyłka pod wzorzystą spódnicą, a stopy w regionalnych kierpcach piekły od potu. Mimo fizycznych niedogodności robiłam co swoje, nie narzekałam. Staralam się, jak mogłam, żeby właściciele tego miejsca kiedyś zatrudnili mnie na stałe. Teraz nie mogli i raczej nie chcieli.

Pracownik na czarno to zaoszczędzony i łatwy pieniądz. Zresztą, jeszcze nie miałam ukończonych osiemnastu lat. Pozwalając mi przychodzić do pracy w weekendy przez kilkanaście ostatnich miesięcy, właściciele wyświadczyli mi przysługę. Szefostwu podobało się moje zaangażowanie i pracowitość, dlatego nie mogłam ich zawieść na żadnej płaszczyźnie. Im więcej zdołałam przepracować godzin, tym więcej mogłam zarobić.

Potrzebowałam pieniędzy, żeby jakoś przetrwać, bo życie mnie nie rozpieszczało. Nigdy nie miałam lekko. Wraz z siostrą Zośką, wychowywałyśmy się w biedzie, często z pomocą starszej sąsiadki, która wsparła nas bardziej, niż zajmująca się własnymi sprawami dalsza rodzina rozsiana gdzieś na Podhalu. Byłyśmy dla nich uciążliwym problemem i kulą u nogi w świadomości. Znacznie łatwiej było się im od nas odciąć, udając, że się nas nie zna.

Ciekawe, jak wyglądałoby moje życie, gdyby mama nie zmarła tuż po wydaniu mnie na świat. Znałam ją tylko z opowieści i czarno-białych fotografii. Była nieprzeciętnie piękna i wnioskując po uwiecznionym na zdjęciach szczerym uśmiechu, bardzo szczęśliwa z moim ojcem. Sąsiadka Stefa, bezdzietna stara panna, która zajmowała się nami jak własnymi dziećmi, opowiadała nam, że mama była cudowną i pogodną osobą, że chciała mieć dom pełen dzieci. Okazało się jednak, że po urodzeniu pierwszej córki Zośki, miała problem z ponownym zajściem w ciążę. Kiedy po pięciu latach się jej to udało, urodziłam się ja. Jej życie skończyło się kilka minut po porodzie, a ojciec po śmierci mamy zamknął się w sobie, unikał nas, jakbyśmy samym swoim widokiem sprawiały mu ból. Pracował dużo, głównie na wypasach owiec. Zaczął coraz więcej i częściej pić.

Nasz dom był oddalony osiem kilometrów od Zakopanego i znajdował się na pagórku, do którego prowadziła polna droga. Bez męskiej ręki i budżetu szybko zaczął popadać w ruinę, tak jak byt zamieszkujących go dzieci. Zaczęłam dostrzegać, że najbliżsi

obarczali mnie odpowiedzialnością za śmierć matki, a z czasem odczucie to przybierało na sile. Byliśmy bardzo nieszczęśliwi, i każde z nas, egzystowało we własnej prywatnej przestrzeni.

Zośce było nieco łatwiej, bo była starsza. Już jako nastolatka pracowała dorywczo w lokalnych gospodarstwach, bacówkach i na parkingach. Cechowała ją nieadekwatna do młodego wieku dojrzałość. Nie chodziła na imprezy, nie interesowała się chłopakami, poznała wielu ludzi i cieszyła się wśród nich dobrą reputacją. W pewnym momencie nastoletniego życia, ktoś pomógł jej dostać pracę sprzątaczką w zakopiańskim szpitalu. Chodziła codziennie na nocne zmiany, mimo iż rano musiała wrócić do domu i rozpocząć dzień. Zabierała swój ciężar, czyli mnie, i szliśmy wspólnie do pobliskich szkół. Chodziłam do podstawówki, ona do liceum.

Miałam co jeść, nie chodziłam w podartych ubraniach, to było maksimum, jakie mogła mi zapewnić. Ponadto nie interesowała się moimi problemami. Nie dążyła do bliskości, jej spojrzenie pozostawało beznamienne, rzadko też ze mną rozmawiała. Zresztą mało kto ze mną rozmawiał, nie miałam przyjaciół, rodzona siostra traktowała mnie jak kota, którego z wiadomych przyczyn musiała nakarmić. Wydawała na mnie tyle, ile musiała, a każdy, zaoszczędzony grosz skrupulatnie odkładała do metalowej puszki ukrytej pod deską podłogową za łóżkiem. Po kilku latach okazało się, że to miał być jej kapitał wyjazdowy. Miesiąc po ukończeniu osiemnastych urodzin Zośka po prostu zniknęła. Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Był piątek, dziewiętnastego grudnia i zbliżały się święta. Miałam dokładnie trzynaście lat. Rano, gotowa do wyjścia z plecakiem u nogi, stałam w oknie, patrząc, kiedy na pokrytej śniegiem ścieżce dostrzegę czerwoną plamę, czyli czapkę siostry wracającej z nocnej zmiany. Chuchnęłam w dłonie, w domu panował chłód, bo nie było sensu rozpalać w kaflowym piecu tuż przed wyjściem, robiłyśmy to po powrocie. Czas uciekał, stary zegar

na ścianie głośno tykał, a za oknem wielkie płatki śniegu wirowały jak w szklanej kuli. Nawet mieszkająca obok Stefa wyszła z domu i zmiatała nadmiar śniegu ze schodka prowadzącego na ganek przed swoim domem. Robiła to bardzo mozolnie, była coraz starsza, a co za tym szło – słabsza.

Byłam spóźniona na pierwszą lekcję. Mogłam iść sama, nie byłam już maleńka, przecież trafiłabym do szkoły. Jednak czekałam. Chyba robiłam to z przyzwyczajenia. Mimo że jedynym odgłosem wspólnego przemierzania drogi był skrzypiący pod podeszwą buta puch, to z nią było mi różnie. Kiedy powrót siostry nadal się opóźniał, zajrzałam do pokoju i odkryłam, że w szafie brakowało większości jej ubrań. Coś mnie tknęło, odsunęłam łóżko i odciągnęłam deskę podłogową, pod którą nie znalazłam puszek. Została czarna dziura. Porzuciła szkołę, mnie i wyjechała bez pożegnania. Nie zdziwiło mnie to, ale zabolalo, zapewne marzyła o lepszym życiu, jak każdy człowiek. Zrobiło mi się przykro, że nie pomyślała o mnie.

Po kilku dniach okazało się, że jednak zostawiła ojcu list. Kiedy wrócił do domu i odkrył, że nie ma w nim starszej córki, nawet nie przeczytał wiadomości. Bez otwierania wrzucił przy mnie kopertę do pieca i niewzruszony, ponownie wyszedł, dzień przed wigilią. Spędziłam ją w milczeniu ze Stefą i jej kotem. To były jedyne święta w takim gronie, bo rok po wyjeździe Zośki zmarła Stefa, której śmierć przeżyłam jeszcze bardziej niż wyjazd siostry.

Na wzgórzu powiało nicością, wtedy już naprawdę zostałam sama, chociaż czasem ojciec wracał do domu. Poczulałam, co to chłód, głód i zwyczajna bezradność pozostawionej samej sobie nastolatki. Nie prosiłam jednak nikogo o pomoc. Nigdy nie potrafiłam tego robić, może dlatego, że od urodzenia żyłam zdana tylko na siebie. Podobnie jak Zośka musiałam szybciej dorosnąć.

Wzięłam się w garść i jakoś dałam radę utrzymać się na stromej powierzchni tatrzańskiego obszaru. Po lekcjach dorabiałam

na baczówce w Kościelisku, marząc o posiadaniu takiej na własność. Nigdy nie przyjął od nikogo niczego za darmo i uznałam to za swój mały sukces.

Tak upływały mi kolejne lata życia, byłam niemal pełnoletnia i teoretycznie nadal miałam ojca. Praktycznie jednak nigdy nie mogłam na niego liczyć. Zapomniał o mnie, o zapadającym się dachu domu, o długach, o świetle, o życiu, upadł i sięgnął dna, zapijając się gdzieś w zakamarkach Podhala.

Tak więc, żeby godnie żyć, musiałam pracować, co właśnie robiłam. Zabrałam z kuchni tacę, na niej talerz z krwistym stekiem i szklanek wody z miętą. Mknęłam sprawnie przez zatłoczony lokal, kierując się na drugi koniec sali, do stolika numer dwadzieścia jeden.

– Hej! – krzyknął jeden z młodych mężczyzn przy którymś z mijanych stolików.

Nie zatrzymałam się, pokazałam mu subtelnym gestem dłoni, że zaraz do nich wrócę, ale usłyszałam kolejne słowa rzucone tym razem za moimi plecami:

– A spierdalaj, pizdo, bez łaski!

Burak. Nie brakowało ich w sezonie wakacyjnym. Prawdopodobnie bogaci rodzice pozbyli się problemu, dali synkowi trochę kasy, żeby był sobą gdzieś na drugim końcu Polski. Szkoda tylko, że akurat w górach.

Dotarłam do celu, gdzie przy małym stoliku siedział jeden człowiek. Nie chciało mi się nawet na niego patrzeć.

– Stek i woda z miętą – upewniłam się, mimo iż numer stolika pokrywał się z numerem zamówienia, i zerknęłam na pana, krzyżując z nim spojrzenie.

Boże...

– Dziękuję, jaskółeczko – powiedział uprzejmym tonem i z obcym akcentem.

Jaskółeczko... Lepiej zabrzmiało niż „pizdo”, co wywołało lekki uśmiech na mojej twarzy. Uprzejmych gości również nie brako-

wało. Ten był starszy ode mnie, na oko koło trzydziestki i bardzo, ale to bardzo przystojny, długowłosey z zarostem i błękitnymi oczami, a jego szyję zdobiły drewniane koraliki. Zakłopotał mnie jego delikatny uśmiech i tajemnicze spojrzenie, jakim nadal mnie raczył.

– Smacznego – dodałam, a ciepło rozlało się na moich policzkach. Nie miałam doświadczenia w relacjach z mężczyznami, byle próba flirtu, szczególnie tak atrakcyjnego mężczyzny, wprowadzała mnie w dość mocne zakłopotanie. Z niegasnącym uśmiechem opuściłam wzrok, odwróciłam się i odeszłam od stolika.

Pospiesznie wracałam z tacą w dłoni, by zrealizować kolejne zamówienie czekające do wydania na kuchni. Nie miałam zamiaru obsługiwać wulgarnych typów, skoro ostatecznie sobie tego nie życzyli. Nie spodziewałam się też, że przechodząc obok nich, poczuję nieeleganckie szarpnięcie za warkocz. Niewiele myśląc, obróciłam się gwałtownie, uderzając napastnika kantem tacy w twarz, aż uwolnił moje włosy i zatoczył się do tyłu, przewracając swoim ciałem rzeczy na sąsiednim stoliku.

– Ty głupia szmato! – wrzasnął, trzymając się za twarz, i natychmiast zasadził się do kontrataku.

Jego koledzy zablokowali mu dostęp do mnie, świadkowie ze stolików obok zaczęli reagować, wstając z miejsc. Zaczęły się przekrzykiwania, przepychanki, aż doszło do prawdziwej bójki. Niektórzy zaczęli opuszczać lokal, obijając się o moje ramię, usłyszałam rozbijające się szkło, a mimo to stałam jak słupek soli, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło. Rozpętało się prawdziwe piekło, które zatrzymać mogła tylko wezwana do przerwania awantury ochrona. Szefowa z wiadomych przyczyn nakazała mi się oddalić, więc roztrzęsiona uciekłam stamtąd i znalazłam moment na wyciszenie nerwów w toalecie dla personelu. Upłynęło trochę czasu, po czym wyszłam, gotowa kontynuować swoją pracę, cokolwiek by

się nie działo. Sytuacja została już opanowana, ale lokal odczuwalnie dla oka opustoszał.

– Monika, pozwól na moment – przywołała mnie właścicielka nadzorująca funkcjonowanie baru.

Pokornie udałam się za nią na zaplecze kuchenne, nie zwracając uwagi, że koledzy z pracy zerkają w naszym kierunku, podszeptując coś między sobą.

– Nie możesz dłużej u nas pracować – oznajmiła najpierw.

Nie należała do ludzi owijających w bawełnę, ale żeby od razu pozbawiać mnie pracy?

– To nie była moja wina... Zaatakował mnie... – starałam się ratować sytuację, ale ona nawet nie patrzyła mi w oczy, była zajęta liczeniem mojej wypłaty. – Potrzebuję tej pracy... – oznajmiłam błagalnie, łzy zaczęły napływać do moich oczu, chociaż tak bardzo chciałam być w tej sytuacji twarda jak ona.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim uderzyłaś tacą klienta naszej karczmy. Nie przychodź tu więcej. – Wyciągnęła w moim kierunku dłoń z pieniędzmi, była na mnie wściekła, teraz czułam to dosadnie.

– Zaatakował mn...

– Głucha jesteś? Nie interesuje mnie to. Zabieraj swoje rzeczy i zjeżdżaj – wbiła mi się w zdanie, wskazując palcem drzwi do szatni.

Pierwszy raz widziałam ją w stanie, kiedy nie patrzyła na mnie jak na dobrego pracownika, a zwykłego śmiecia, który nie potrafi zapanować nad odruchami.

– Przepraszam – dodałam, z trudem panując nad łamiącym się głosem.

Ona jedynie pokręciła głową.

– Do widzenia... – dodałam, pospiesznie wychodząc i ściskając pieniądze w dłoni. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że robię to w tym miejscu po raz ostatni.

Nie zmieniałam ubrań, wpackowałam swoje rzeczy do plecaka, łyzy mimowolnie spływały po moim policzku. *Broniłam się tylko.* Nie zasłużyłam sobie na aż tak poważne konsekwencje. Nim wyszłam z szatni, otarłam policzki i opuściłam lokal tylnym wejściem dla pracowników.

Byłych pracowników. Wyszłam na Krupówki, następnie skręcałam w kolejne dróżki. Do domu miałam ponad osiem kilometrów. Nie chciałam brać taksówki, pomimo późnej pory zmęczenie jakoś samo odpuściło. Po prostu sunęłam do przodu, pociągając nosem i nie zważając na błyski rozświetlające niebo, grzmoty i powiew wiatru o zapachu nadciągającej burzy. Szłam, gubiąc kroki i światło kolejnych latarni, aż minęłam granicę miasta. W tym rejonie zaczynało się robić odludnie i jakże znajomo.

Była druga, może trzecia nad ranem. Nie wiem, bo nie chciałam wiedzieć. Czas się nie liczył, a z nieba zaczęły lecieć pierwsze krople deszczu. Zatrzymałam się w miejscu, gdzie kończył się chodnik, stałam przez chwilę w mroku, zastanawiając się, dokąd właściwie zmierzam. Nie miałam na myśli domu. Ciężko mi wszystko. Warkocz, własna skóra, kierpce, ubrania, plecak, i głównie życie. Zdjęłam cholerne buty z obolałych stóp i wyrzuciłam je do rowu. Zerwałam z szyi czerwone korale, które uderzając o podłoże, rozsypały się pod nogami. Przewiesiłam plecak do przodu i po omacku wyszukałam paczkę papierosów. Chociaż to nic nie dawało, to czasem paliłam. Ruszyłam boso skrajem nieoświetlonej drogi, leniwie stawiając kolejne kroki. Znałam tę trasę na pamięć, każdą nierówność i szelesty w zaroślach, chociaż te zostały całkowicie zdominowane przez zaczynającą się właśnie burzę. Błyskawice coraz intensywniej rozjaśniały noc, a chwilę później zrobiły to długie światła pojazdu za moimi plecami.

Ktoś wyraźnie zwolnił, targnęło mną bardzo złe przeczucie, więc automatycznie przyspieszyłam kroku. W pewnym momencie auto przyspieszyło i wyprzedziło mnie, by zatrzymać

się kilkadziesiąt metrów przede mną na poboczu. Nikt z przyjaznym zamiarem nie zatrzymuje się późną nocą przy samotnie idącej bosej dziewczynie z plecakiem. Tylne czerwone światła stojącego samochodu rozpałały w mojej głowie równie czerwony alarm. Zawróciłam w miejscu i zaczęłam biec, ale nagle przede mną wyrosły dwie sylwetki. Nogi zmiękły mi całkowicie, oddech przyspieszył, a kiedy odezwał się mężczyzna, który pojawił się również za moimi plecami, byłam już pewna, że stanie się coś bardzo złego.

– Teraz, szmato, mam dla ciebie inne zamówienie... – Chwycił moje włosy, jak kilka godzin temu w barze, tyle że tym razem rzucił mną brutalnie jak kukłą o mokry od deszczu asfalt.

Zapieczętowała mnie starta na kolanach skóra. Natychmiast się przekęciłam, starając się podnieść, ale byłam otoczona przez czterech pijanych mężczyzn. Chciałam się poderwać i uciec, ale wtedy niespodziewany cios w twarz ostudził mój zamiar, ponownie powalając na bok. Pulsujący ból rozlał się po skroni, łzy bezradności zaczęły wypełniać oczy, byłam przerażona. Znalazłam się w potrzasku, mieli przewagę liczebną i siłową i znajdowali się za blisko. Prawdopodobnie ktoś został w aucie, którym przyjechali.

– Czego chcecie? Zostawcie mnie... – wykrztusiłam błagalnym tonem.

– Spoko – parsknął jeden z nich, pochylając się nad moją głowę i pociągnął za włosy, wymuszając tym mój siad, pisnęłam w zaskoczeniu. Szyderczy rechot mężczyzn zagłuszał mój głośny i nierówny oddech.

Jeden z nich szarpnął za moją koszulę, kolejni chwyciwszy za kolana, rozchylili mi nogi, śmiejąc się przy tym i pogwizdując z podłym zadowoleniem. Zaczęłam wrzeszczeć, ale wielka łapa zakryła mi usta, tłumiąc cały wydobywający się z mojego gardła dźwięk. Strach i bezsilność sprawiły, że puls dudnił w każdej komórce mojego ciała. Wszędzie czułam obmacujące mnie ręce, szarpali za bluzkę rozrywając kolejne guziki, ściskali piersi.

Prócz grzmotów i odgłosów szalejącej ulewy usłyszałam brzęk rozpinanego paska. Dostrzegłam, że agresor, którego uderzyłam tarcą, opuszcza spodnie i zaczyna się stymulować. Jego spojrzenie zatrzymało się między moimi nogami.

– Sami się obsłużymy, dziwko...

Błyskawica rozjaśniła lubieżny uśmiech na jego ustach.

Splunął w bok i opadł całym ciężarem na mnie, podczas gdy jego koledzy nadal krępowali moje gorączkowe ruchy, przytrzymując głowę oraz ręce. Wierciłam się, starałam się walczyć, wy-szarpać, ale byłam bez szans. Ich przewaga, pogwizdywania, detyk, odór alkoholu nie dawały mi cienia nadziei. Zgwałcą mnie jeden po drugim i może to przeżyję.

Kiedy napastnik bez cienia oporów, dysząc, ocierał się o mnie, nagle zaprzestał zamiaru gwałtu na środku drogi i poderwał się, pociągając mnie za sobą. Przeszkodził mu odgłos nadjeżdżającego pojazdu. Zawlekli mnie za ręce, postawiwszy do pionu, i mimo mojej walki ciągnęli mnie w stronę samochodu. Wtedy obok nas przejechał głośny motocykl, i dość szybko zniknął, zabierając ze sobą moją nadzieję. Rozbawiona grupka zaczęła szydzić, klaskać w dłonie i dogadywać. Zostałam pchnięta i obrócona przodem do samochodu, wykrecono mi ręce do tyłu i mocno przyparto mnie twarzą do mokrej karoserii. Czyjeś ręce uniosły mokry materiał mojej spódnicy, a jeszcze inne boleśnie zacisnęły się na biodrach i bokach.

– Puśćcie mnie – wyjąkałam błagalnie, zrezygnowana, ale nie wiedziałam, czy w ogóle mnie usłyszeli.

Mężczyzna ponownie zaczął się do mnie dobierać, pociągnął za włosy odciągając głowę do tyłu i uderzył nią w karoserię samochodu. Najpierw poczułam w ustach smak krwi, potem przed oczami pojawiała mi się naprzemiennie ciemność i światło, grzmot, szum i znowu ciemność. Zamroczone i nietrzymana już przez nikogo osunęłam się po masce samochodu i upadłam przy nim. Drżąca i z twarzą dociśniętą do opony zacisnęłam powieki ze wszystkich

sił. Odgłosy tworzyły jakąś irracjonalną i nieznaną mi dotąd chaotyczną symfonię. A może było to urojenie spowodowane urazem głowy, w której nadal mi wirowało?

I na raz nastąpiła cisza spowita odgłosem padającego deszczu. Wzdrygnęłam się, znów czując czyjś dotyk na skórze ramienia.

– Nie bój się, już ci nic nie zrobią... Ja też ci nic nie zrobię... Jaskółko – zapewnił mężczyzna łagodnym jak balsam głosem.

Z obawą uchyliłam powieki i gdyby nie określenie, jakiego użył, nie byłabym w stanie skojarzyć jego osoby. Nie miałam słów, byłam zbyt przerażona, żeby coś powiedzieć i jednocześnie doznałam ulgi. Czułam jak nagromadzone emocje wychodzą ze mnie poprzez drżenie ciała i wyciekające z oczu łzy. Powinam się odezwać i podziękować nieznanemu. Zamiast tego uniosłam się gwałtownie i wtuliłam w jego pierś z kuriozalną ufnością. Pachniał deszczem, wiatrem, wolnością i miętą. Tyle lat dawałam radę być silną i nagle pękłam, płacząc w koszulkę obcemu człowiekowi.

– Nie wiem, kim jesteś... ale zabierz mnie ze sobą... proszę – pisnęłam absurdalną prośbę.

– Jestem Vasil – przedstawił się, obejmując mnie ramionami.

– Dobrze, Jaskółko, zabiorę cię ze sobą – zapewnił spokojnie, przytulając mocniej do siebie.